

z najstarszych rodzin francuskich. Lecz oto w da, czy w trzy tygodnie po uroczystych zaręczynach, Piotr zakochał się ni spodzianie w nowej nauczycielce Kamilli. Przekonał się wtedy, że dla swej narzeczonej miał zaasze głębokie, lecz tylko braterskie uczucia, nie przypominające niczem tego, jakiego obecnie doznawał.

Zmieszalo to bardzo łodego czli wieka, lecz mimo chęci zapanowani nad sobą, zeraził się szybko ze swemi względami da panny Dubois. Spoztrzegła też to wkrótce i Kamilla. Pewnego razu wzięła swego narzeczonego na bok i wprost mu rzekła:

— Kochasz Ludwikę...

Piotr chciał zaprzeczać, lecz młoda panna ciągnęła dalej:

— I masz rację, że ją kochasz! Jest cudowna pod każdym względem. Co do mnie to jestem gotowa rzucić się w oścień za ciebie, ale nie poślubić cię... Jesteś bardzo miłym i pierwszym szefem na świecie... To prawda, ale cóż robić? Ja już innego wybrałam sobie za męża!

Piotr stał jak osłupiały po tem wyznaniu, cpanował się jednak na tyle, iż wyzeptał:

— Kamillo... Moja droga Kamillo...

Nie miał nic innego do powiedzenia. Chciało mu się jednocześnie śmiać i płakać.

— A kto jest ten inny? — zażył wreszcie.

— Nie mogę ci powiedzieć, do óki nie do-  
wiem się, czy mnie kocha... On nie zna mych uczuć... I ja sama nic o nich nie wiedziałam jeszcze przed pięciu lub sześciu dniami... Potrzeba było dopiero tych zaręczyn i nadziei, że zostanę wkrótce panią Piotrową Carlelegue, by spoztrziedz, że w głębi mego serca leży pragnienie pozostania panią... Ach! zdradziłabym się!

— A rodzice nasi? — zapytał Piotr.

— Nasi rodzice, co prawda, nie będą tem zachwyceni...

— Trzeba ich zawiadomić...

— Kiedy?

— Zaraz!

— Ja jestem zdania — odparła Kamilla — że lepiej poczekać.

— Czekać? Na co?

— Na wielkie wyścigi... Ty zdobędziesz na-  
pewne pierwszą nagrodę...

— Tak! Terrade i ja będziemy jechali na maszynie o sile stu czterdziestu koni, będzie to najszybszy na świecie samochód!

— Gdy więc zostaniesz zwycięzcą, zazadasz od ojca, by w nagrodę pozwolił ci się ożenić z kim zechcesz,

— A nie wspominać o tem Ludwice?

— Powiesz jej to zaraz jutro!

Następnego dnia Piotr zajeżdżał samochodem po swą przyjaciółkę i pannę Dubois. W czasie jazdy oświadczył się nauczycielce i Kamilla sama złoczyła ich ręce.

Pani Lagunan na równi z córką odgadła tajemnicę Piotra i gdy pewnego razu młody człowiek i Ludwika pozostali na chwilę sami w salonie, baronowa podsłuchiwała pod drzwiami. Z kilku zdań, jakie ją dobiegły, nie dowiedziała się o roli, odegranej przez Kamillę, przekonała się jednak, że przypuszczenia jej są słuszne. Król stu dwudziestu koni zakochany był w nauczycielce i bez wahania poświęcał dla niej pannę o Lagunan. Baronowa pobiegła do Maksyma Dureta.

Na wieść, jaką mu przyniosła siostrzenica, dobroczynny prezes ani się nie ruszył, tylko szybkie mruganie powiekami zdradzało całe jego wzruszenie.

— A ja liczyłam na to, iż Carlelegue'owie pozłocą na nowo przytarty nasz herb — rzekła baronowa.

— A ja, że zdobędę przez to jakie dobrze wynagradzane prezesostwo — dodał Maksym Duret.

— Mamy tylko piętnaście tysięcy franków dochodu, a wydajemy koło sześćdziesięciu — westchnęła baronowa. — Kapitały nasze topnieją.

— A może już dawno stopniały. Tyle tylko mam na życie, ile mi przynoszą me urzędy w radach zarządzających różnych towarzystw.

Duret nie zajmował się tylko filantropią. Czas swój dzielił między dobroczynnością a dobrze rentującymi się interesami. Drugie pomagały do zdobycia pierwszych i nawzajem. Towarzystwa finansowe miały sobie za zaszczyt, iż w liczbie członków ich zarządu znajduje się i ten poważny obywatel.

Po chwili milczenia odezwał się znowu filantropijny prezes:

— Piotr poślubi Kamillę!

Te trzy słowa zostały wymówione tonem rozkazującym, stanowczym i pewnym. Wuj i siostrzenice popatrzyli sobie w oczy, nie mrugając nawet powiekami.

— Co mamy czynić? — zapytała Lucya.

— To, cośmy czynili przed dwudziestu laty!

— Dobrze — zgodziła się z prototą baronowa.

I Maksym Duret napisał natychmiast pierwszy z listów, które miały być adresowane do panny L. D. na pocztę przy ulicy Bayen. Lucya wynajęła sobie bezzwłocznie jeden pokój w oddalnej dzielnicy Paryża i kazała przynieść sobie tam okrycie i kapelusze, podobne do tych, jakie nosiła nauczycielka. Na drugi dzień przebrała się tutaj i udała się do pałacyku przy ulicy Godot-de-Mauroi, gdzie oczekiwali już na nią wuj pod nazwiskiem Karola Turnera. Przedtem zachodziła na pocztę po listy, adresowane do posterestante.

Przez dwa tygodnie spotykał się tak Maksym Duret i baronowa i odbierali miłosne listy z pocztą przy ulicy Bayen. Potem nieczuli na nic, urządzili dramatyczną scenę, w następstwie której Piotr Cartalegu, uciekając przed swą boleścią, udał się do Nowego Jorku. Młody człowiek przeżywał i z po raz wtóry wszystkie przejażdżki samochodem z Karoliną i Ludwiką i straszny wieczór, podczas którego miłość jego zosłała tak śmiertelnie zranioną. Przez cały czas podróży pozostawał kupionym w sobie, niemym, ślepym i obojętnym na wszystko, co go otaczało. Ożywił się dopiero nieco po wylądowaniu w Nowym Jorku.

Nowe dla niego zwyczaje i obyczaje tego kraju zwróciły jego uwagę. Przejechał go także sprawa, jaką mu zlecił ojciec. Został wciągnięty w pęd życia amerykańskiego i bez zwłoki udał się zaraz do pełnomocnika ojcowskiej fabryki.

— Ojciec mój — rzekł po wytłumaczeniu celu swej podróży — utrzymuje, iż możemy znaleźć tu pomoc finansową i złożyć wielką fabrykę...

— I ja tak sądzę — potwierdził pełnomocnik.

— Mówił mi mianowicie o wielkim finansistcie... Lewisie Jacksonie...

— Właśnie obecnie jest w Nowym Jorku.

— Czy ma znaczny majątek?

— Około tysiąca stu milionów...

— Więcej niż miliard!

— I sam się wszystkiem zajmuję, jak zresztą przeważna liczba naszych miliardów... Ma dopiero czterdzieści pięć lat... Zaczął w dwudziestym ósmym roku z kilkudziesięcioma tysiącami franków... Obecnie prowadzi interesy w całych Stanach Zjednoczonych.

— Jakiego rodzaju są te interesy?

— Wszelkiego... Banki, kupno i sprzedaż ziemi, karczowanie, plantacje, drogi żelazne i wodne, fabryki, trusty, jednym słowem wszystko i wszystko udaje mu się, czego się do knie...

— Mówi pan, że jest w Nowym Jorku?

— Od kilku dni... Mieszka zazwyczaj w Chicago... W gruncie jednak rzeczy, jeździ ciągle od Atlantyku do Pacyfiku, od Meksyku do Kanady... Jego prawdziwym mieszkaniem jest własny wagon kolejowy...

Piotr udał się do hotelu, w którym zatrzymał się słynny business-man i kazał się zaanonso-  
wać. Najpierw jakiś urzędnik zatelefonował i po otrzymaniu odpowiedzi, oddał Piotra w ręce negrowi. W chwilę potem winda unosiła ich ohydnu na dziewiąte piętro. Negr, poprzedzając Piotra, wszedł na korytarz i zapukał do drzwi, które się też zaraz otworzyły. Jakiś poważny jegomość w białym krawacie, który się potem okazał przybochnym kamerdynerem Lewisa Jacksona, skłonił się nisko przed przybyłymi. Miliarder nigdy nie podróżował bez swego osobistego służącego i sekretarza.

Po przejściu przez przedpokój, wprowadzono Piotra do wspaniale urządzonego salonu, do którego po kilku chwilach wszedł sam Lewis Jackson. Był to wysoki, szczupły mężczyzna, o wygolonej i pomarszczonej twarzy, która miała jakiś ostry i stanowczy wyraz. Szare, głęboko osadzone oczy, patrzyły zimno i przenikliwie.

— Dzień dobry siostrzeńcze! — rzekł żywo, podając rękę swemu gościowi.

Oczy młodego człowieka zaokrągliły się.

— Well! — ciągnął dalej Lewis Jackson. — Nie przypuszczałeś, że masz wuja w Ameryce. Jestem wujem z Ameryki, ale na modę bretańską, gdyż jestem tylko kuzynem twego ojca!

— Przepraszam... — rzekł Piotr. — Nie rozumiem.

— Hallo! Czyś nie słyszał o pewnym Julianie Maixent?

— Owszem... Musiałem go nawet widzieć, gdy byłem małym...

— Well! Dzisiaj widzisz go znowu!

Piotr uściśnął machinalnie rękę, którą mu podał business-man. Ten zaś mówił dalej:

— Ze wszystkich osób, które znałem we Francji, ciebie spotykam pierwszego, mój chłopcz... Zmienileś się trochę... Trudno! Gdy cię widział po raz ostatni, miałeś dopiero cztery lata.

Złumiony Piotr jękał się:

— To pan jest tym krewnym, którego mój ojciec uważał za umarłego?

— Ach! Mił mi nie za umarłego?

— Lecz pan się nazwa Lewis Jackson...

— Przenosząc się tutaj, chciałem stworzyć sobie nowe życie i zatrzeć w swej pamięci przeżyte dni... Zmieniając kraj i zajęcie, zmieniłem także nazwisko, by nic mi nie przypominało przeszłości...

— I zostałem wuj miliarderm?

— Do twych usług, mój chłopcz! Well! Ponieważ nie znasz historii Juliana Maixenta, nie przyjechałem tu jako siostrzeniec... Czego pragniesz?... Zachowałem dobre wspomnienie o twojej rodzinie i jestem szczęśliwy, że mogę być ci pożytecznym...

Przerwał, by spojrzeć na chronometr.

— Już jedenasta. Zjesz śniadanie ze mną?

— Ale...

— All right! Niema żadnego ale! Zabieram cię z sobą!

I miliardar przeszedł w towarzystwie Piotra do przedpokoju, gdzie służący podał mu futro, poobite niebieskimi lisami.

— Żle tutaj dają jeść — rzekł Lewis. — Pojedziemy do restauracji Clarke.

Piotr tak czuł się nagle zdumionym, iż nie wiedział, jak podtrzymać rozmowę, dopiero gdy przed hotelem zobaczył piękny samochód o sile trzydziestu koni, zawołał bezwiednie:

— Ach! z fabryki ojca!

I na myśl, że w tym odległym kraju tyle tego samochodów jeździ, poczuł się nie tak bardzo osamotnionym.

— Jest to jeden z mych osobistych — odrzekł Lewis. — Gdy muszę pozostać gdzie dłużej, wysłają mi z Chicago pociągami me samochody.

Zaprosił do środka swego siostrzeńca i siadł obok niego. Samochód ruszył zaraz i wjechał na Broadway.

Miliarder nie odzywał się.

„A to mój ojciec będzie zdziwiony!“ — myślał Piotr.

Widząc zaś, że wuj jego siedzi zadumany, starał się odgadnąć:

„O czym on myśli? O swych niezliczonych interesach, czy też o przeszłości, którą to spotkanie przywiodło mu na pamięć?“

O przeszłości tej Piotr nie wiele wiedział. Słyszał tylko, iż Julian Maixent wkrótce po wyjściu ze szkoły centralnej, ożenił się z miłości, w dwa lata jednak potem rozwiódł się ze swą żoną i znikł gdzieś bez wieści.

„Uciekł z kraju przed swą boleścią, jak i ja... — mówił sobie młody człowiek. Kraj ten jest widocznie odpowiedni do zapomnienia o przeszłości i przywdziania na siebie nowej skóry. Jak wielki wpływ asymilacyjny mają Stany Zjednoczone! Po kilku latach pobytu w nich, Angliki, Holendrzy i Niemcy stają się podobni do tutejszych mieszkaniców — zairacają swój typ i stają się Amerykanami...“

Tymczasem samochód zatrzymał się już i Lewis wraz z Piotrem wysiedli przed restauracją Clarke. Przeszli przez próg, wyłożony kilkudziesięciu dolarami i znaleźli się w sali, urządzonej z niesłychanym przepychem. Miliarder kazał się zaprowadzić do ostatniego gabinetu, którego ściany zawieszono byłymi starymi, francuskimi gobelinami, sufit zaś ozdobiony malowidłami najslawniejszych artystów.

Podczas śniadania, podanego na sposób amerykański, który polegał na tem, iż wszystkie potrawy podano od razu na stół, Lewis, pijąc wino, zwrócił się do służącego:

— Ta butelka Lafitte, choć jest z 68 roku, nie bardzo mi smakuje... Proszę mi przynieść drugą taką samą.

(Ciąg dalszy nastąpi)